

ANALIZY

HISTORIA POLSKI 1914-1993

ZDZISIAW M. RURARZ

Pod takim tytułem ukazała się w kraju w ub. roku książka-podręcznik prof. Wojciecha Roszkowskiego, w przeszłości występującego także pod nazwiskiem Andrzeja Alberta (pod tym właśnie nazwiskiem opublikował kilka lat temu "Najnowszą historię Polski 1918-1980").

Rzecz jasna, 454-stronicowa praca, obejmująca szczególnie burzliwy i złożony okres w historii Polski, nie może być wolna od błędów i innych uproszczeń, biorąc dodatkowo pod uwagę fakt, że wiele opisywanych wydarzeń nie może być nawet poddane głębszej analizie ze względu na brak dostępu do niektórych źródeł archiwalnych, zwłaszcza sowieckich. Niemniej jednak, wartko i przejrzysto napisana praca, bogato utkana faktami i krótkimi komentarzami, jest niewątpliwie wielkim wydarzeniem wydawniczym, tym bardziej wielkim, że napisana przez polskiego historyka i po polsku, rzecz nie tak znów powszechna w naszym polskim życiu.

Stąd też książce Roszkowskiego należy poświęcić nieco uwagi w "Dzienniku", choćby i dlatego, że jest ona już na polonijnych półkach księgarskich.

Jeśli chodzi o mnie osobiście, to omawiana pozycja schlebia mi nawet, gdyż zna-

kieleckim, doszło do zajść polsko-żydowskich i interwencji policji. Żaden Żyd nie zginął, ale za to policja zastrzeliła ośmiu chłopów, a dalszych czterech zmarło ponadto w szpitalu w wyniku odniesionych ran.

Co się zaś tyczy wydarzeń w Przytyku, nazwanych przez Roszkowskiego "pogromem Żydów", to sprawa ta wyglądała zupełnie inaczej.

W tym miejscu muszę dokonać dygresji.

Otóż kilka lat temu, w USA, miałem rozmowę z jednym z b. polskich Żydów, który m.in. wspominał o "pogromie w Przytyku", w wyniku którego miało zginąć ponad 400 Żydów. Przyznam szczerze, choć przed wojną mieszkalem o dziesięć kilometrów od Przytyka, a nawet przejeżdżałem przezeń chyba ze dwa razy, mieszkając w Pionkach, że zarzut ten "zatkał" mnie, gdyż żadnych szczegółów na temat tego wydarzenia wtedy nie znałem. Zadałem sobie jednak trud dogrzebania się prawdy, gdyż ciągle gnębiły mnie wspomniane wymówki mojego rozmówcy.

A więc, wydarzenia w Przytyku, w dniu 9 marca 1936 r., opisane są przez Reginę Renz w artykule pt. "Ludność żydowska w Przytyku w okresie międzywojennym", które opublikano w Biuletynie Żydowskiego

echem, ale też, jak to po latach wytknął mi wspomniany już rozmówca, zostało z czasem potwornie zniekształcone i rozdmuchane /mój rozmówca, kiedy po jakimś czasie podałem mu prawdziwy przebieg wydarzeń, nie uwierzył mi.../.

W ogóle zaś, to Roszkowski, który urodził się w dwa lata po wojnie, w sposób dość dowolny przedstawia złożoność przedwojennych i wojennych stosunków polsko-żydowskich, ale czas już przejść do innych spraw.

A więc na str. 82, pisze on, że "30 marca 1939 r. ambasador angielski w Warszawie wręczył szefowi polskiej dyplomacji gwarancje brytyjskie na wypadek agresji niemieckiej".

Sprawa tych gwarancji, o czym już Roszkowski nie wspomina, była bardziej złożona, a ponadto towarzyszyły jej wydarzenia o wiele ważniejsze, w pracy nie wspomniane, jak np. wystąpienie premiera Chamberlaina w Izbie Gmin w dniu 31 marca 1939 r., czy też rozmowy londyńskie min. Józefa Becka i komunikat z nich wydany 6 kwietnia tegoż roku. Gwarancje te jednakże, do chwili podpisania polsko-angielskiego traktatu o sojuszu obronnym z 25 sierpnia 1939 r., były dość niepewne, ale to już inna sprawa.

w ręce alianckie i stąd straty wojenne Wehrmachtu i innych formacji hitlerowskich są znane od lat i na ogół ze sobą zgodne. Stąd też sugerowanie jakichś nowych i "prawdopodobnych" strat niemieckich, bez podania ich rewelacyjnych źródeł, jest wręcz niepoważne, a wśród Polaków sprzyjające tylko szerzeniu się nowych i niebezpiecznych mitów. Tylko patrzeć bowiem jak kiedyś zaczęliśmy pisać, że kampanię wrześniową właściwie nawet wygraliśmy...

Ale żarty na bok. Dokładne straty niemieckie w czasie kampanii wrześniowej w Polsce, niestety, są znacznie mniejsze od podanych przez Roszkowskiego, wynosząc tylko 13.111 zabitych i zaginionych oraz 27.278 rannych.

W obu wypadkach więc ilość zabitych i rannych Polaków była średnio 5-krotnie większa od ilości zabitych i rannych Niemców. Rozpiętość w stratach wynikała zarówno z dwukrotnej przewagi liczebnej Niemców, jak nade wszystko wielokrotnej ich przewagi ogniowej, lepszego dowodzenia i sprawnej łączności. Większość polskich strat była też nie na polu walki, a na tyłach, gdzie śmierć siała lotnictwo niemieckie, dalekosiężna artyleria, a także broń pancerna, któ-

krótkimi komentarzami, jest niewątpliwie wielkim wydarzeniem wydawniczym, tym bardziej wielkim, że napisana przez polskiego historyka i po polsku, rzecz nie tak znów powszechna w naszym polskim życiu.

Stąd też książkę Roszkowskiego należy poświęcić nieco uwagi w "Dzienniku", choćby i dlatego, że jest ona już na polonijnych półkach księgarskich.

Jeśli chodzi o mnie osobiście, to omawiana pozycja schlebia mi nawet, gdyż znalazło się w niej także moje nazwisko, po tym jak zdecydowałem się, protestując przeciwko "stanowi wojennemu", na zerwanie z PRL.

Z drugiej strony jednakże, nie mogę przyznawać oczu na liczne uchybienia w pracy Roszkowskiego, podobnie jak ja absolwenta SGPiS. Chodzi tu zarówno o nieścisłość niektórych faktów, jak też błędne ich komentowanie.

I jeszcze jedna sprawa.

Otóż w artykule nie poruszam niemal w ogóle wydarzeń powojennych, które ciągle jeszcze wymagają głębszych studiów, opartych o znajomość materiałów archiwalnych, rzecz nie zawsze możliwa.

Co się tyczy okresu przedwojennego, to na uwagę zasługuje m.in. dość kontrowersyjne przedstawienie stosunków polsko-żydowskich.

Konkretnie mówiąc, na str. 75 Roszkowski pisze: "Głośny stał się pogrom Żydów w Przytyku..."

Wydarzenie to, skwitowane tylko paroma słowami, wypacza prawdę historyczną na temat "pogromów" Żydów w przedwojennej Polsce. Piszę w cudzysłowie, gdyż w rzeczywistości nic takiego nie miało miejsca, choć prawdą jest, że były różne bijatyki i inne zajścia, w których udział brali Polacy i Żydzi, a niektóre z nich kończyły się nawet śmiertelnymi ofiarami. Niemniej jednak, w całym okresie międzywojennym wydarzenia tego rodzaju pociągnęły śmierć tylko ok. 20 Żydów, co choćby ze względu na ilość ofiar nie kwalifikuje się do określenia ich "pogromami". Zresztą, wydarzenia te pociągały za sobą także śmierć Polaków. Tak na przykład, w dniu 29 listopada 1935 r., w Odrzywole, w woj.

przytyka, a nawet przejeżdżałem przezeń chyba ze dwa razy, mieszkając w Pionkach, że zarzut ten "zatkął" mnie, gdyż żadnych szczegółów na temat tego wydarzenia wtedy nie znalazłem. Zadałem sobie jednak trud dogrzebania się prawdy, gdyż ciągle gnębiły mnie wspomniane wymówki mojego rozmówcy.

A więc, wydarzenia w Przytyku, w dniu 9 marca 1936 r., opisane są przez Reginę Renz w artykule pt. "Ludność żydowska w Przytyku w okresie międzywojennym", który ukazał się w Biuletynie Żydowskiego Instytutu Historycznego w Polsce, w Warszawie, w numerze 3-4/147-148, z lipca-grudnia 1988 r., na stronach 167-183.

Oddajmy więc głos autorce, która choćby ze względu na swoje pochodzenie nie ma przecież powodu do tuszowania faktów historycznych. Tak czy inaczej, Renz pisze, że od połowy 1935 r. "Przytyk stał się terenem wystąpień antyżydowskich". W związku z tym Żydzi zaczęli organizować grupę bojową, wyposażoną m.in. w broń palną. Przywódcą tej grupy, albo organizacji konspiracyjnej, ponad dwudziestoosobowej, był Izaak Frydman.

W każdym razie, we wspomnianym już dniu, doszło do bojkotu straganów żydowskich z pieczywem, co doprowadziło do licznych bójek pomiędzy Polakami i Żydami, a także do interwencji policji. W zamieszaniu, ze strony żydowskiej, padły strzały, godząc śmiertelnie polskiego chłopca, Stanisława Wieśniaka. Rozjuszeni tym wydarzeniem chłopcy, uzbrojeni w kłonicę i orczyki, zaatakowali sklepy i domy żydowskie, w wyniku czego szewc Josek Minkowski i jego żona Chaja zostali zabici. Kres dalszym zajściom położyły posiłki policji przybyłe z Radomia. Aresztowano wielu Polaków i Żydów, a przed sądem stanęło potem 43 Polaków i 13 Żydów. Sąd stwierdził, że strzały oddali Żydzi, Luzer Kirszenwajg, Icek Frydman i Szulim Leska. W wyniku rozprawy dziesięciu Żydów dostało wyroki od 6 miesięcy do 8 lat za bezprawne użycie broni palnej. Skazano też 19 Polaków za "udział w zbiegowisku", ferując wyroki do 10 miesięcy, ale sąd apelacyjny wyroki te potem podwyższył.

I to wszystko. Wydarzenie w Przytyku, jak to pisze Roszkowski, odbiło się szerokim

Sprawa tych gwarancji, o czym już Roszkowski nie wspomina, była bardziej złożona, a ponadto towarzyszyły jej wydarzenia o wiele ważniejsze, w pracy nie wspomniane, jak np. wystąpienie premiera Chamberlaina w Izbie Gmin w dniu 31 marca 1939 r., czy też rozmowy londyńskie min. Józefa Becka i komunikat z nich wydany 6 kwietnia tegoż roku. Gwarancje te jednakże, do chwili podpisania polsko-angielskiego traktatu o sojuszu obronnym z 25 sierpnia 1939 r., były dość niepewne, ale to już inna sprawa.

Natomiast nie jest prawdą, że Hitler wydał dyrektywę "Fall Weiss", która rozpoczęła przygotowywanie agresji niemieckiej przeciwko Polsce, "pod koniec marca" 1939 r. Dyrektywę Hitler wydał 3 kwietnia tegoż roku, po tym jak Beck, przyjeżdżając pociągiem do Londynu przez Berlin, w dniu 2 kwietnia, nie próbował nawet rozmawiać z Niemcami.

Ale nie to jest najważniejsze. Znacznie istotniejsze są bowiem ustępy pracy poświęcone Wrześniowi 1939 r. Pomijam już opis przebiegu kampanii, gdyż brak miejsca zmusił autora do wielu koniecznych skrótów, ale chodzi o sam rezultat rozegranych wydarzeń.

A więc Roszkowski podaje, że Polaków, oficerów i żołnierzy, poległo "około 70 tysięcy, a 133 tys. odniosło rany. Do niewoli niemieckiej dostało się około 300 tys. oficerów i żołnierzy..." (str. 91).

Dane te, poza liczbą jeńców, która według innych źródeł była wyższa, są na ogół niekwestionowane, choć też, z oczywistych względów, nie są precyzyjne.

Natomiast zastrzeżenia budzą podane przez Roszkowskiego straty niemieckie. Osobiście byłbym rad, żeby Roszkowski miał rację, ale przecież nie chodzi o "dane życzeniowe", a zgodne z prawdą historyczną.

Konkretnie mówiąc, na str. 91, Roszkowski podaje, że straty niemieckie są różnie oceniane, ale "prawdopodobnie wynosiły one 90 tys. zabitych i 60 tys. rannych".

Pomijając już fakt, że z reguły ilość rannych przewyższa 2-3-krotnie ilość zabitych, a w podanym przez Roszkowskiego stanie strat niemieckich proporcje te są poważnie zakłócone, to jednakże doprawdy nie wiem skąd wziął on ilość 90 tysięcy zabitych Niemców? Wojenne archiwa niemieckie wpadły

27.278 rannych.

W obu wypadkach więc ilość zabitych i rannych Polaków była średnio 5-krotnie większa od ilości zabitych i rannych Niemców. Rozpiętość w stratach wynikała zarówno z dwukrotnej przewagi liczebnej Niemców, jak nade wszystko wielokrotnej ich przewagi ogniowej, lepszego dowodzenia i sprawnej łączności. Większość polskich strat była też nie na polu walki, a na tyłach, gdzie śmierć siało lotnictwo niemieckie, dalekosiężna artyleria, a także broń pancerna, która dezorganizowała polską obronę.

Osobny i bardzo kontrowersyjny problem, to sposób przedstawienia przez Roszkowskiego problemu Powstania Warszawskiego, głównie od strony politycznej, choć także i wojskowej, w tym jakże istotnym dla Polski okresie II wojny światowej.

Pomijając już sprawę uzbrojenia powstańców, gdzie ilość cekaemów zawyżona jest 100-krotnie, na większą uwagę zasługują inne poglądy autora, zresztą już w przeszłości lansowane przez niektórych historyków polskich, a ostatnio nabierających nawet na popularności.

Konkretnie mówiąc, chodzi o pogląd autora, że Armia Czerwona mogła latem 1944 r. zdobyć nie tylko Warszawę, ale w ogóle całą Polskę, a nawet całe Niemcy (str. 134-135).

Niestety, poglądy tego rodzaju są wręcz bzdurne, zwłaszcza w odniesieniu do zdobycia przez wojska sowieckie całej Polski, nie mówiąc już o dojeździe ich do Renu. Prawda, sytuacja Niemców na froncie wschodnim latem 1944 r. była krytyczna, ale nie beznadziejna jeszcze. Co więcej, Stalin nie mógł nawet zająć całych Niemiec, gdyż uzgodnienia w ramach Wielkiej Trójki, wkrótce dokładnie sprecyzowane, określały co kto ma zająć.

I wreszcie, nie należy też przeceniać potęgi Armii Czerwonej tamtych czasów. Jej czerwona ofensywa przesunęła front o 400-600 kilometrów na zachód, co było i tak o wiele więcej niż planowano. Mimo zwycięstw armia ta wykazywała już zmęczenie, musiała uzupełnić straty w ludziach i sprzęcie, a ponadto radykalnie poprawić zaopatrzenie nacierających wojsk. Warto bowiem dodać, że w tym czasie sowiecki żołnierz

ANALIZY

w ofensywie potrzebował dziennie średnio 35 kilogramów zaopatrzenia, głównie amunicji i paliw płynnych, a dowóz jego z azjatyckiej części ZSRR, przy braku kolei szerokotorowej na zdobywanych ziemiach, stawał się najbardziej kłopotliwym problemem.

Możliwość zatem parcia takiej armii bez przerwy do przodu, mającej do przejścia Wał Pomorski, Odrę i Nysę, Łabę, a nade wszystko gęsto zabudowane Niemcy, gdzie masowe użycie czołgów nawet prawie rok później było mało skuteczne, ze względu na ich masowe niszczenie "panzerfaustami" i "panzerschreckami", należy włożyć między bajki.

Zresztą, znane dziś archiwa niemieckie, jak też w znacznej części sowieckie, dają diametralnie inny obraz sytuacji na froncie wschodnim w początkach sierpnia 1944 r. O zdobyciu Warszawy, rzecz bezsporna, decydowały u Stalina nie tylko względy wojskowe, ale także polityczne. Nie ulega bowiem wątpliwości, że wywiad sowiecki informował go dokładnie o sytuacji politycznej na ziemiach polskich, a szczególnie w Warszawie, gdzie mieściły się władze Polski Podziemnej i trzon Armii Krajowej.

Czy te względy właśnie, czy jakieś inne, zadecydowały w końcu o sytuacji na froncie przy podejściu do Warszawy - trudno dziś powiedzieć. Faktem jest jednakże, że sunąca od wschodu ofensywa sowiecka, której "pięścią" był I Front Białoruski pod dowództwem wtedy jeszcze gen. Konstantego Rokossowskiego, zbliżała się szybko do Warszawy.

Zgrupowanie to rozdzieliło się jednak na dwa skrzydła dla obejścia błot poleskich, na skrzydło lewe, tj. południowe i prawe, tj. północne. Po obejściu błot prawe skrzydło kontynuowało natarcie w kierunku siedleckim, tj. warszawskim, ale lewe, z rozkazu Stalina z 21 lipca, skręciło na południe, dla zdobycia Chełma i Lublina, co wkrótce nastąpiło. Tym samym uderzenie w kierunku Warszawy uległo osłabieniu.

Czy w tej sytuacji należało się porywać na Powstanie? Na co naprawdę liczone? Na rozmiękczenie serc Stalina, Churchilla i Roosevelta? Czy zapomniano o tym, że w polityce sentymenty w ogóle się nie liczą, a Stalinowi do sentymentów zawsze było przecież daleko...

Warszawa, o czym Roszkowski też wspomina, była aż do 27 lipca 1944 r. wyjęta spod planu "Burza" i tak na dobrą sprawę do żadnych walk nie była przygotowana.

Jednakże względy polityczne, istotnie dla przywódców Podziemia decydujące, kazały się nie liczyć z wojskową stroną Powstania, licząc, że "jakoś tam będzie". A tymczasem sytuacja wojskowa ukształtowała się wokół Warszawy w sposób wyjątkowo złożony, a nawet wręcz zwodniczy dla polskiego Podziemia, które z oczywistych względów nie mogło się połapać w zmieniających się jak w kalejdoskopie wydarzeniach na froncie.

Tak czy inaczej, wywiad AK był daleko od optymizmu, zwłaszcza tuż przed wybuchem Powstania, co do szans jego powodzenia ze względu na sztywniejącą obronę niemiecką wokół stolicy. Komenda Główna AK jednakże, zwłaszcza pułkownicy a potem generałowie Tadeusz Pełczyński, szef Sztabu, Leopold Okulicki, zastępca Komendanta Głównego, a nade wszystko Antoni Chruściel, czyli "Monter", dowódca Okręgu Warszawskiego AK i późniejszy dowódca sił powstańczych, rwali się do walki, stąd sytuację na froncie oceniali jako wybitnie sprzyjającą do poderwania się do walki.

W rzeczywistości sytuacja ta, niestety, zaprzeczala temu optymizmowi.

Konkretnie mówiąc, już 27 lipca 1944 r. na podejściu do Warszawy, rozpoczęła się pierwsza faza bitwy, największej na ziemiach Polski w czasie II wojny światowej. Faza ta skończyła się w końcu lipca, a już 1 sierpnia rozpoczęła się druga, pięciodniowa, faza bit-

wobec niego aliantów zachodnich. Stąd już był tylko krok do samobójstwa, na które z pewnością Stalin tylko czekał, choć może go nawet nie przewidywał.

Stąd też trudno zgodzić się z Roszkowskim, kiedy pisze, że: "...Nie były to jednak ofiary daremne. Stalin przekonał się, że sowietyzacja Polaków nie pójdzie łatwo. Tym samym w jakimś stopniu musiał powściągnąć myśl o uczynieniu z Polski republiki radzieckiej. Zagłada Warszawy kosztowała ZSRR parę miesięcy zastoju na froncie... O ile latem 1944 r. otwierała się przed Stalinem szansa na podbój całej Rzeszy, o tyle teraz nie mógł na to liczyć..."

Przede wszystkim, to ciągle nie ma na to najmniejszych dowodów, że Stalin zamierzał uczynić z Polski republikę sowiecką, a gdyby istotnie zamierzał to uczynić, to cel ten mógł znacznie lepiej osiągnąć w latach późniejszych, a nie już w 1944 r. Klęska Powstania zaś załamała Polaków, podkopała ich zaufanie do Zachodu, a ponadto pozbawiła naród najbardziej światłej, licznej i energicznej jego części, co ułatwiło, a nie utrudniało sowietyzację kraju.

"Zastój" na froncie nie był też żadną klęską dla ZSRR. On sam tego chciał. Konsolidował bowiem zdobycze, a i tak wiedział jaką część Niemiec ma zająć. Zajęcie ich w 1944 r., z marszu, jest więc niepoważną bajką, o czym już wspominałem powyżej. W ogóle zaś, to Stalin chciał zapewne utrzymania Hitlera u władzy, gdyż wszyscy inni mogli się poddać zachodnim aliantom, a tym samym zbyt szybkie postępy frontu wschodniego cel taki mogły tylko pokrzyżować. Powracając zaś do Powstania, to było ono "podarkiem dla Stalina". Sami Polacy rozwiązali bowiem jego liczne dylematy i szkoda tylko, że teraz zamieniają to na "wyższe racje", mądrość, albo wręcz zwycięstwo.

Co się tyczy innych zastrzeżeń do omawianej pracy, tylko okresu wojennego, to razi

wbrew nawet zakazom AK, jako że była ona wspomagana przez Niemców, a w efekcie tego mordowano Ukraińców...

Innymi słowy, Roszkowski pisze o wstępowaniu Polaków do samoobronnych "Schutzmannschaften", ale że Ukraińcy dziesiątkami tysięcy służyli w różnych formacjach wysługujących się Niemcom, nie mówiąc już o utworzeniu dwóch dywizji SS, nie wspomina ani słowem!

Skoro już mowa o wspomnianej samoobronie, to pomijając już niemieckie wysiłki siania nienawiści pomiędzy Polakami a Ukraińcami i odwrotnie, wielu lokalnych dowódców niemieckich było tak wstrząśniętych bestialstwem OUN i UPA, że na własną rękę dawali nieco karabinów Polakom, żeby jako tako się bronili.

I wreszcie ostatnia ze spraw, którą chciałbym jeszcze poruszyć. Chodzi o pogrom Żydów w Kielcach 4 lipca 1946 r. Wydarzenie to, które jest nawet końcowym akcentem Muzeum Holocaustu w Waszyngtonie, jest niezmiennie przypisywane polskiemu antysemityzmowi, a i Roszkowski, na str. 165, pod nagłówkiem "Pogrom kielecki", jakby przychylił się do takiego poglądu. Pisze bowiem, że "przyczyną zająć, w których mieszkańcy miasta zamordowali 40 Żydów był antysemityzm...". Gwoli prawdy dodaje też, że "poszlaki wskazują, iż pogrom zainspirowały organy bezpieczeństwa", ale akcent położył na "polskim antysemityzmie".

O sprawie tej nie będę pisał w tym miejscu, gdyż dość szczegółowo opisałem ją już raz na łamach "Panoramy", ale chciałbym tylko dodać, iż znacznie więcej niż tylko "poszlaki" sugeruje zainspirowanie zająć i ich wykonanie przez płk. Szpilewoją z NKWD, lub NKGB, a także mjr. Sobczyńskiego, szefa UB na województwo kieleckie. Sam zaś mord Żydów był głównie dokonany przez milicjan-

ANALIZY

w ofensywie potrzebował dziennie średnio 35 kilogramów zaopatrzenia, głównie amunicji i paliw płynnych, a dowóz jego z azjatyckiej części ZSRR, przy braku kolei szerokotorowej na zdobywanych ziemiach, stawał się najbardziej kłopotliwym problemem.

Możliwość zatem parcia takiej armii bez przerwy do przodu, mającej do przejścia Wał Pomorski, Odrę i Nysę, Łabę, a nade wszystko gęsto zabudowane Niemcy, gdzie masowe użycie czołgów nawet prawie rok później było mało skuteczne, ze względu na ich masowe niszczenie "panzerfaustami" i "panzerschreckami", należy włożyć między bajki.

Zresztą, znane dziś archiwa niemieckie, jak też w znacznej części sowieckie, dają diametralnie inny obraz sytuacji na froncie wschodnim w początkach sierpnia 1944 r. O zdobyciu Warszawy, rzecz bezsporna, decydowały u Stalina nie tylko względy wojskowe, ale także polityczne. Nie ulega bowiem wątpliwości, że wywiad sowiecki informował go dokładnie o sytuacji politycznej na ziemiach polskich, a szczególnie w Warszawie, gdzie mieściły się władze Polski Podziemnej i trzon Armii Krajowej.

Czy te względy właśnie, czy jakieś inne, zadecydowały w końcu o sytuacji na froncie przy podejściu do Warszawy - trudno dziś powiedzieć. Faktem jest jednakże, że sunąca od wschodu ofensywa sowiecka, której "pięścią" był I Front Białoruski pod dowództwem wtedy jeszcze gen. Konstantego Rokossowskiego, zbliżała się szybko do Warszawy.

Zgrupowanie to rozdzieliło się jednak na dwa skrzydła dla obejścia błot poleskich, na skrzydło lewe, tj. południowe i prawe, tj. północne. Po obejściu błot prawe skrzydło kontynuowało natarcie w kierunku siedleckim, tj. warszawskim, ale lewe, z rozkazu Stalina z 21 lipca, skręciło na południe, dla zdobycia Chełma i Lublina, co wkrótce nastąpiło. Tym samym uderzenie w kierunku Warszawy uległo osłabieniu.

Czy w tej sytuacji należało się porywać na Powstanie? Na co naprawdę liczone? Na rozmięczenie serc Stalina, Churchilla i Roosevelta? Czy zapomniano o tym, że w polityce sentymenty w ogóle się nie liczą, a Stalinowi do sentymentów zawsze było przecież daleko...

Warszawa, o czym Roszkowski też wspomina, była aż do 27 lipca 1944 r. wyjęta spod planu "Burza" i tak na dobrą sprawę do żadnych walk nie była przygotowana.

Jednakże względy polityczne, istotnie dla przywódców Podziemia decydujące, każały się nie liczyć z wojskową stroną Powstania, licząc, że "jakoś tam będzie". A tymczasem sytuacja wojskowa ukształtowała się wokół Warszawy w sposób wyjątkowo złożony, a nawet wręcz zwodniczy dla polskiego Podziemia, które z oczywistych względów nie mogło się połapać w zmieniających się jak w kalejdoskopie wydarzeniach na froncie.

Tak czy inaczej, wywiad AK był daleki od optymizmu, zwłaszcza tuż przed wybuchem Powstania, co do szans jego powodzenia ze względu na sztywniejącą obronę niemiecką wokół stolicy. Komenda Główna AK jednakże, zwłaszcza pułkownicy a potem generałowie Tadeusz Pełczyński, szef Sztabu, Leopold Okulicki, zastępca Komendanta Głównego, a nade wszystko Antoni Chruściel, czyli "Monter", dowódca Okręgu Warszawskiego AK i późniejszy dowódca sił powstańczych, rwali się do walki, stąd sytuację na froncie oceniali jako wybitnie sprzyjającą do poderwania się do walki.

W rzeczywistości sytuacja ta, niestety, zaprzeczwała temu optymizmowi.

Konkretnie mówiąc, już 27 lipca 1944 r. na podejściu do Warszawy, rozpoczęła się pierwsza faza bitwy, największej na ziemiach Polski w czasie II wojny światowej. Faza ta skończyła się w końcu lipca, a już 1 sierpnia rozpoczęła się druga, pięciodniowa, faza bitwy. Długość fazy była dla wojsk sowieckich

wobec niego aliantów zachodnich. Stąd już był tylko krok do samobójstwa, na które z pewnością Stalin tylko czekał, choć może go nawet nie przewidywał.

Stąd też trudno zgodzić się z Roszkowskim, kiedy pisze, że: "...Nie były to jednak ofiary daremne. Stalin przekonał się, że sowietyzacja Polaków nie pójdzie łatwo. Tym samym w jakimś stopniu musiał powściągnąć myśl o uczynieniu z Polski republiki radzieckiej. Zagłada Warszawy kosztowała ZSRR parę miesięcy zastoju na froncie... O ile latem 1944 r. otwierała się przed Stalinem szansa na podbój całej Rzeszy, o tyle teraz nie mógł na to liczyć..."

Przede wszystkim, to ciągle nie ma na to najmniejszych dowodów, że Stalin zamierzał uczynić z Polski republikę sowiecką, a gdyby istotnie zamierzał to uczynić, to cel ten mógł znacznie lepiej osiągnąć w latach późniejszych, a nie już w 1944 r. Klęska Powstania zaś załamała Polaków, podkopała ich zaufanie do Zachodu, a ponadto pozbawiła naród najbardziej światłej, licznej i energicznej jego części, co ułatwiło, a nie utrudniało sowietyzację kraju.

"Zastój" na froncie nie był też żadną klęską dla ZSRR. On sam tego chciał. Konsolidował bowiem zdobycze, a i tak wiedział jaką część Niemiec ma zająć. Zajęcie ich w 1944 r., z marszu, jest więc niepoważną bajką, o czym już wspominałem powyżej. W ogóle zaś, to Stalin chciał zapewne utrzymania Hitlera u władzy, gdyż wszyscy inni mogli się poddać zachodnim aliantom, a tym samym zbyt szybkie postępy frontu wschodniego cel taki mogły tylko pokrzyżować. Powracając zaś do Powstania, to było ono "podarkiem dla Stalina". Sami Polacy rozwiązyali bowiem jego liczne dylematy i szkoda tylko, że teraz zamieniają to na "wyższe racje", mądrość, albo wręcz zwycięstwo.

Co się tyczy innych zastrzeżeń do omawianej pracy, tylko okresu wojennego, to razi

wbrew nawet zakazom AK, jako że była ona wspomagana przez Niemców, a w efekcie tego mordowano Ukraińców...

Innymi słowy, Roszkowski pisze o wstępowaniu Polaków do samoobronnych "Schutzmannschaftów", ale że Ukraińcy dziesiątkami tysięcy służyli w różnych formacjach wysługujących się Niemcom, nie mówiąc już o utworzeniu dwóch dywizji SS, nie wspomina ani słowem!

Skoro już mowa o wspomnianej samoobronie, to pomijając już niemieckie wysiłki siania nienawiści pomiędzy Polakami a Ukraińcami i odwrotnie, wielu lokalnych dowódców niemieckich było tak wstrząśniętych bestialstwem OUN i UPA, że na własną rękę dawali nieco karabinów Polakom, żeby jako tako się bronili.

I wreszcie ostatnia ze spraw, którą chciałbym jeszcze poruszyć. Chodzi o pogrom Żydów w Kielcach 4 lipca 1946 r. Wydarzenie to, które jest nawet końcowym akcentem Muzeum Holocaustu w Waszyngtonie, jest niezmiennie przypisywane polskiemu antysemityzmowi, a i Roszkowski, na str. 165, pod nagłówkiem "Pogrom kielecki", jakby przychylił się do takiego poglądu. Pisze bowiem, że "przyczyną zajść, w których mieszkańcy miasta zamordowali 40 Żydów był antysemityzm...". Gwoli prawdy dodaje też, że "poszlaki wskazują, iż pogrom zainspirowały organy bezpieczeństwa", ale akcent położył na "polskim antysemityzmie".

O sprawie tej nie będę pisał w tym miejscu, gdyż dość szczegółowo opisałem ją już raz na łamach "Panoramy", ale chciałbym tylko dodać, iż znacznie więcej niż tylko "poszlaki" sugeruje zainspirowanie zajść i ich wykonanie przez płk. Szpilewoja z NKWD, lub NKGB, a także mjr. Sobczyńskiego, szefa UB na województwo kieleckie. Sam zaś mord Żydów był głównie dokonany przez milicjan-

skiego, zbliżała się szybko do Warszawy.

Zgrupowanie to rozdzieliło się jednak na dwa skrzydła dla obejścia błot poleskich, na skrzydło lewe, tj. południowe i prawe, tj. północne. Po obejściu błot prawe skrzydło kontynuowało natarcie w kierunku siedleckim, tj. warszawskim, ale lewe, z rozkazu Stalina z 21 lipca, skręciło na południe, dla zdobycia Chełma i Lublina, co wkrótce nastąpiło. Tym samym uderzenie w kierunku Warszawy uległo osłabieniu.

Stalin, decydując się na tego rodzaju operację, a było to jeszcze na wiele dni przed wybuchem Powstania, kierował się zapewne względami politycznymi. wołał bowiem osadzić stworzony w Moskwie PKWN w Lublinie, a nie w Warszawie.

Co więcej, już wtedy Stalin zaczął przetrzącać część wojsk z tzw. Frontów Białoruskich na tzw. Fronty Ukraińskie, w związku z sytuacją na Bałkanach, która zaczęła się gwałtownie zmieniać na jego korzyść.

W rezultacie tego wszystkiego sytuacja frontowa na podejściu do Warszawy zaczęła się zmieniać i to z niekorzyścią dla ewentualnego sukcesu Powstania. Niemcy zaczęli bowiem pospiesznie ściągać w okolice Warszawy liczne posiłki, nawet z Włoch, nie zamierzając bynajmniej oddać jej bez walki. Również wojska niemieckie cofające się na Warszawę nie tylko nadal zachowywały zdolność bojową, ale nie dały się okrążyć, a nawet udaremniły sowieckie próby przerwania ich obrony. O szczegółach tej złożonej sytuacji frontowej już nie wspominam ze względu na brak miejsca, ale tak nie było, jak twierdził Roszkowski, że droga na Warszawę była otwarta.

Oczywiście, gdyby istniała jakaś współpraca pomiędzy polskim Podziemiem a Stalinem, to zapewne sprawy mogły się potoczyć inaczej, ale przecież wiadomo, że tak nie było. Co gorsza, już na Wołyniu, a potem jeszcze na Wileńszczyźnie, stało się oczywiste, że jakieś samodzielne akcje bojowe AK, nawet niby uzgodnione z Sowietami, kończyły się zawsze tragicznie i tego należało się spodziewać także w Warszawie. Gdyby zresztą miało być inaczej, to zachodni alianci namawialiby AK do Powstania, ale oni właśnie milczeli...

na froncie oceniali jako wybitnie sprzyjającą do poderwania się do walki.

W rzeczywistości sytuacja ta, niestety, zaprzeczala temu optymizmowi.

Konkretnie mówiąc, już 27 lipca 1944 r. na podejściu do Warszawy, rozpoczęła się pierwsza faza bitwy, największej na ziemiach Polski w czasie II wojny światowej. Faza ta skończyła się w końcu lipca, a już 1 sierpnia rozpoczęła się druga, pięciodniowa, faza bitwy. Pierwsza faza była dla wojsk sowieckich zwycięska. Zdobyły one m.in. Otwock i Wołomin, a jeden z czołgów sowieckich dotarł nawet na Targówek, na przedmieście Pragi.

Druga faza bitwy, a po obu stronach wzięło w niej udział ponad tysiąc czołgów i dział samobieżnych, skończyła się porażką wojsk sowieckich i to mimo pospiesznego ściągnięcia z okolic Dębina 2 armii pancernej gen. Aleksandra Radziejewskiego, najsilniejszej w całym I Froncie Białoruskim. Armia ta, którą dotąd dowodził utalentowany gen. Sjemion Bogdanow, który został ciężko ranny w Lublinie, weszła do boju chaotycznie i doznała porażki. Co więcej, towarzysząca jej 8 gwardyjska armia gen. Wasyla Czujkowa została z bitwy wycofana i przerzucona pod Magnuszew, dla stworzenia przyczółka mostowego, koniecznego do oskrzydlenia Warszawy.

Prawdę mówiąc, krótką przerwę pomiędzy obu fazami bitwy wywiad AK bardzo prawidłowo zinterpretował, uznając za możliwe powodzenie kontruderzenia niemieckiego. Śpieszący do Komendy Głównej jego szef, płk Kazimierz Iranek-Osmecki, nie zdążył już na czas z tym meldunkiem sytuacyjnym, gdyż przeszkodziła mu obława na ulicach stolicy. Kiedy wreszcie dotarł do Komendy, to zastał tam już tylko gen. Tadeusza Bora-Komorowskiego, jako że inni członkowie Komendy Głównej, po podjęciu decyzji o wybuchu Powstania, już się rozeszli. Wydanych rozkazów już nie można było odwołać...

O samej decyzji nie wspominam, gdyż są to sprawy o tyle znane, co żenujące. Dodać tylko należy, że Wódz Naczelny, gen. Kazimierz Sosnkowski, był przeciwny Powstaniu, nie mówiąc już o wspomnianej obojętności

lera u władzy, gdyż wszyscy inni mogli się poddać zachodnim aliantom, a tym samym zbyt szybkie postępy frontu wschodniego cel taki mogły tylko pokrzyżować. Powracając zaś do Powstania, to było ono "podarkiem dla Stalina". Sami Polacy rozwiązyali bowiem jego liczne dylematy i szkoda tylko, że teraz zamieniają to na "wyższe racje", mądrość, albo wręcz zwycięstwo.

Co się tyczy innych zastrzeżeń do omawianej pracy, tylko okresu wojennego, to razi kompletne przemilczenie sytuacji na odcinku stosunków polsko-litewskich po 1941 r., a były one b. złe, z czego zresztą Litwini robią ciągle, w dodatku na bakier z historią, wielki problem, oskarżając AK wręcz o ludobójstwo. A sytuacja była przecież diametralnie odmienna. To przecież litewskie gestapo, Sangauma, winne jest ludobójstwa na Polakach, podobnie jak próby zlikwidowania AK, a może nawet Polaków w ogóle, podjęte przez stworzone przez Niemców oddziały gen. Povilasa Plechavičiusa.

Niedosyt pozostawia też omówienie bardzo skomplikowanych stosunków polsko-ukraińskich, choć Roszkowski poświęca im kilka zdań na str. 126-127, jak też na str. 161, gdzie wspomina o akcji "Wisła" oraz współdziałaniach pomiędzy UPA i polskim Podziemiem przeciwko "władzy ludowej" i jej sowieckim opiekunom.

Szczególnie razi lekkie potraktowanie rzezi Polaków przez Ukraińców w okresie wojny, choć sprawie tej poświęcony jest nawet krótki tekst pod dość dziwnym tytułem "Walki polsko-ukraińskie".

Niestety, nie były to żadne walki, choć wraz z rozwojem wydarzeń i one też miały miejsce, a zwyczajnie, niestety, okrutne morderstwa polskiej ludności cywilnej przez różne formacje ukraińskie. Autor, nie wiadomo z jakich powodów, początek tych "walk" przypisuje jakby Polakom, na Zamojszczyźnie. Prawda, Roszkowski pisze o podjęciu przez UPA akcji "depolonizacji" przez morderstwa na ludności polskiej, ale nie podaje ani ilości ofiar polskich, a poszły one w setki tysięcy, ani w ogóle zagadnieniu temu nie poświęca należnego mu miejsca. Natomiast wspomina o tym, że Polacy organizowali samoobronę,

potoczyła polskim historycznym...

O sprawie tej nie będę pisał w tym miejscu, gdyż dość szczegółowo opisałem ją już raz na łamach "Panoramy", ale chciałbym tylko dodać, iż znacznie więcej niż tylko "poszlaki" sugeruje zainspirowanie zajęć i ich wykonanie przez płk. Szpilewoja z NKWD, lub NKGB, a także mjr. Sobczyńskiego, szefa UB na województwo kieleckie. Sam zaś mord Żydów był głównie dokonany przez milicjantów oraz żołnierzy KBW i WP, do których Żydzi pierwsi oddali strzały.

O innych wydarzeniach w powojennej Polsce już nie wspominam. Roszkowski podaje ich szczegółowy kalendarz, a co do komentarza tych wydarzeń, to myślę, że ciągle za mało, albo nawet błędnie o nich wiemy. Ile było tu autentyzmu, a ile "palca" sowieckich i peerelowskich służb tajnych - ciągle nie wiadomo.

Stąd też pisanie historii tego okresu jest zadaniem wręcz niemożliwym, choć z drugiej strony nawet zestaw wydarzeń znanych tylko powierzchownie jest absolutnie konieczny.

Wydarzenia jednak bardziej oddalone w czasie, głównie te przedwojenne i wojenne, musimy znać dokładnie i wystrzegać się oplatania ich w nowe i niebezpieczne mity. Niestety, książka Roszkowskiego w jakimś stopniu przyczynia się do tworzenia nowych mitów lub utrwalania starych. I szkoda tylko, że miliony Polaków, czytając tę pracę, a mając za małe przygotowanie do odróżnienia prawdy od mitu, czy prawdy od nieprawdy, nadal nie będą znać swojej własnej historii.

Od Redakcji:

Przy przepisywaniu tekstu Z. Ruraza, opublikowanego w Nr 86 "Dziennika", opuszczono w jednym miejscu kilkanaście słów. Prawidłowy tekst brzmi: "Właśnie w tym bodajże dla niego przełomowym momencie, Mościcki miał w czasie swojego wystąpienia zaniki mowy i pamięci, co tylko i tak już niekorzystną dla niego sytuację jeszcze dodatkowo pogorszyło". Przepraszamy.